



**HELENA
SEKUŁA**



PIERŚCIEN KALIFA

Helena Sekuła

PIERŚCIEŃ KALIFA

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-15-1

Copyright © Helena Sekuła

Projekt okładki: Marcin Labus

1.

– Kalif cię wzywa.

– Co się stało?!

– Mnie się nie zwierzał. Wsiadaj – ostatnie słowo zagłuszył huk boeinga startującego do Toronto, nabierał szybkości nad lotniskiem.

– Na pewno mówił o mnie?

– Nie pytaj głupio.

Moje niezbyt sensowne odezwanie wynikało z porażającego lęku o Kalifa i zaskoczenia. Wywołał mnie przez radiotelefon dyżurny inspektor personelu naziemnego.

– Zgłosił się ktoś od twojej siostry. Czeka przy wejściu dla pracowników.

Właściwie regulamin nie zezwalał załodze na opuszczanie wyznaczonego sektora po przekroczeniu umownej granicy, lecz zakaz należał do słowa pisanego. W rzeczywistości nieraz stewardesy musiały osobiście interweniować w cateringu znajdującym się poza terenem portu, beznadziejnej prowizorce nie mającej wiele wspólnego z prawdziwym przemysłem przygotowującym posiłki wydawane na pokładach. Poza wszystkimi mankamentami łączność z owym działem funkcjonowała źle albo wcale. Ostatecznie tą samą drogą można było wyjść i do rodziny. Rodziny nachodziły pracowników wyjątkowo, na ogół z powodu leków nie do zdobycia w kraju.

– Od siostry?

– Od siostry – potwierdził inspektor.

Ukryłam zdziwienie. Odkąd wymówiła mi rozkładane łóżko w swoim domu, odwiedziłam ich jeden raz. Umyślnie poszłam w służbowym uniformie. Nie omyliłam się, zrobił wrażenie niebieski kostium ozdobiony złotym galonem z emblematami linii lotniczej, złote spinki w mankietach bluzki z prawdziwej popeliny. Tylko że mój ubiór skojarzyła z milicyjnym mundurem i chciała wiedzieć, co to za glińska formacja taka elegancka, chociaż inny był krój i odcień błękitu – jednolity, od czółenek po kepi z otokiem haftowanym złotą nicią.

– Stewardesa? Aha, taka samolotowa kelnerka – skwitowała wyjaśnienie. – Jeździsz za granicę, dokąd?

– Berlin, Kolonia, Londyn – nie mogłam się oprzeć wyliczeniu olśniewająco brzmiących imion miast w wielkim świecie, których ona nigdy nie zobaczy inaczej niż w telewizorze po kawałku.

Prawdę mówiąc, ja z tego świata widywałam przeważnie terminale, strefy bezcłowe, magazyny hurtu i noclegownię w Londynie, skąd następnego rana powtarzaliśmy tę samą trasę do Warszawy. Załogi maszyn dalekiego zasięgu okrążające w jednym rejsie niemal kulę ziemską naszą caravelę przeżywały dorożką.

Wielki świat nie zrobił na siostrze wrażenia, tylko wywołał odruch praktyczny.

– Chwała Bogu, masz nareszcie prawdziwe zajęcie, twoja poprzednia praca ni z pierza, ni z mięsa, w ogóle dla obiboków. Ale teraz przywiozłabyś chociaż zimowe trzewiki dzieciom. W handlu nie ma butów, na komis nie ma pieniędzy.

Był środek lat osiemdziesiątych, panowała inflacja i dotkliwy brak właściwie wszystkiego. Istniały trzy możliwości zdobycia rzeczy niezbędnych. Staż w kolejkach pod sklepami liczący się już nie w godzinach, ale na dni i noce, łapówki dla sklepowej, albo kupno po drakońskich cenach na Wolumenie lub bazarze Różyckiego, najpopularniejszych wówczas targowiskach.

Wzięłam miarki odrysowane na papierze według wyściółek z noszonego przez malców obuwia. Wyświadczenie przysługi sprzyjało moim rachubom. Dobrze nastrajała siostrę perspektywa bucików, poza tym wciąż jeszcze dręczył ją sposób, w jaki mnie usunęła ze

swojego domu. Nie była zła, tylko zaharowana i zamknięta w klatce wciąż ubożającego budżetu.

– Mam do ciebie prośbę. Dostałam miejsce w hotelu portowym, ale zameldowana wolałabym nadal pozostać u was. Częściej mnie nie ma, niż jestem, paczka czy jakaś wiadomość zawsze pewniejsza u swoich.

Mnie nie robiło różnicy, Kalifowi jednak zależało, abym nie pozostawiała śladu obecności w lokalu przy Zarankiewicza, gdzie mieszkaliśmy. Z tego powodu opłacałam również łóżko w trzyosobowym pokoju noclegowni dla personelu latającego, gdzie sypiałam przed rejsem. Nie traciłam wtedy czasu na dojazdy, chociaż nie uważałabym ich za uciążliwe. Ale tak zdecydował Kalif i kazał pozostać przy poprzednim meldunku, zapisanym także w moim paszporcie i świeżym patencie stewardesy.

– Pewno, co rodzina, to rodzina – zgodziła się siostra ucieszona, że między nami nie ma już mojego żalu i jej poczucia winy. Nareszcie samodzielna przestałam zagrażać jej metrażowi, a jeszcze kapnie im co nieco z mojej dobrej posady.

Teraz więc, gdy inspektor zawiadomił o posłańcu od siostry, pomyślałam: pewnie w sprawie obiecanych albo jeszcze dodatkowych bucików. Daj palec, złapią rękę. Ale nie ona, tylko Kalif posłużył się rodzinnym kamuflażem i przysłał po mnie ludzi, bowiem ani on, ani Jasny w moim towarzystwie nie pokazywali się nawet w okolicach lotniska.

Nigdy przedtem nie widziałam mężczyzny siedzącego za kierownicą. Fakt ów nie wywołał żadnej refleksji, poza Jasnym Kalif izolował mnie skutecznie od swojego środowiska.

– Wsiadaj, inaczej nie zdążysz na lot – odezwał się drugi z tylnego siedzenia, wyglądający jak starsza kopia szofera. Upodabniał ich strój. Obaj nosili komplety z marmurkowego dżinsu, białe skarpetki i mokasyny typu college, mimikrę młodych mężczyzn wczesnych lat osiemdziesiątych.

– Powiedźcie, o co chodzi – upierałam się. Do odlotu pozostała godzina, Kalif znał czas startu. Nie do pomyślenia było, abym zeszła z pokładu i nie stawiała się na swój kurs. Mnie nikt nie był w stanie zastąpić. Nie mogłam na nikogo scedować A m f i.

– Kalif miał ciężki wypadek.

Runęło niebo na głowę. Zabrakło głosu, siebie odczułam jak kloc drewna nie mogący nawet skrzywić ust do płaczu, ponieważ nie ma ust, nie ma krtani ni strun do krzyku. Kochałam Kalifa, niewolniczo oddana. Nie podlegał ocenie, nie podlegał porównaniom. Wartość sama w sobie i punkt odniesienia.

– Gdzie jesteście? – myśli i odczucia były przy nim, ostatnie, co dostrzegłam, to czerwone światło w alei Krakowskiej przy jakimś skrzyżowaniu i później już nic. Auto toczyło się bez przyhamowań, teraz między lasem wiódł gładki asfalt, pęd wozu jak gdyby rozcinał i odkładał na boki lite zielono-rude ściany. Uniosłam się trochę, zza ramienia kierowcy spojrzałam na szybkościomierz, strzałka dochodziła do dwustu.

– Zaraz będziemy na miejscu – starszy energicznie pociągnął mnie z powrotem.

– Spóźnię się na rejs – spojrzałam na zegarek, za pół godziny startował mój samolot.

– Zamknij się – powiedział znad kierownicy młodszy. Właśnie zabrzmiał sygnał Ci-bi. Starszy przechylił się przez oparcie, wziął bezprzewodowy telefon.

– ...wszystko w porządku ...Over – zakończył rozmowę z angielska, położył aparat obok na siedzeniu.

– Co z Kalifem?

– Bez zmian. Po drodze bierzemy lekarza.

– Boże! Co to za wypadek, gdzie jest Kalif, dlaczego nie w szpitalu! Trzeba natychmiast wezwać pogotowie – sięgnęłam po Ci-bi.

– Jest przy nim doktor. Potrzebny specjalista. Zdarzają się sytuacje, kiedy należy unikać oficjalnej medycyny, i to jest właśnie taka sytuacja – ścisnął mój nadgarstek, z martwiejących palców wypuściłam aparat.

Zegarek na moim przegubie ścigał się z samochodem. Wskazówki nawlekały sekundy, minuty, kwadransy. Myślałam o Kalifie, przestał obchodzić start samolotu, lecz ładunek A m f i był stałą troską Kalifa. Wypląnęły z pamięci jego słowa:

– Na nieprzewidzianą okoliczność zapamiętaj numer telefonu. Nie, nigdzie nie zapisuj. Gdybyś z jakichś względów nie mogła polecieć. Rozumiesz? Przeszkoda nie do pokonania. Ujawniona w ostatniej chwili. A m f i nie może pozostać bez opieki.

– Nie zdążę na samolot!

– Zdążysz. W najgorszym wypadku obejdą się bez ciebie.

– Muszę natychmiast rozmawiać z Warszawą.

– Z tego aparatu dyspozycje przyjmowane są wyłącznie ode mnie. Bezpośredniego połączenia z miastem nie ma.

– Pilne! Zastępstwo na lot... – podyktowałam cyfry. Starszy wiernie powtórzył moje hasło do membrany. – Over.

Myślami wróciłam do Kalifa.

Odkąd zaczęłam pracować w Air Madala, widywaliśmy się rzadko. Już nie wynajmował apartamentu w Forum, jak wówczas, gdyśmy się poznali. Wciąż w rozjazdach, istny komiwojażer. Zawsze wracał do naszego domu, czyli mieszkania przy Zarankiewicza, własności, jak głosił formalny zapis, człowieka, którego nigdy nie zobaczyłam.

Moje służby i nieobecności Kalifa układały się przemiennie, gdy miałam wolne, jego przeważnie nie było i nigdy nie zawiadamiał o przyjściu. Spadał jak meteor. Zaczynało się święto. Przeważnie krótkotrwałe, bo albo ja miałam zaraz dyżur, albo on swoją pogoń za biznesem – tak nazywał wieczne wędrówki bez udzielania o nich bliższych wiadomości.

Air Madala płaciły dobrze. Szybko przywykłam do godziwego standardu. Wydawałam wszystko, marzyłam o zwyczajnym życiu, niemożliwym z Kalifem. On kochał swoją niespokojną egzystencję.

– Pochodzę z nomadów. Ruch jest moim żywiołem, jeśli zostanę na miejscu, znaczy umarłem – odpowiedział swoją nie pozbawioną wdzięku, trudną polszczyzną na delikatną uwagę, aby chociaż trochę zwolnił tempo.

Dla siebie nie śmiałybym nawet wspomnieć o jakichś koncesjach. Zresztą akurat przy moim zajęciu nie mogło być mowy o żadnych ulgach. Albo obowiązujący limit rejsów, albo wcale. Bez żalu zrezygnowałabym z owej elitarnej pracy, gdyby Kalif rzekł słowo, lecz on tego słowa nigdy nie powiedział. Nie po to wyłożył masę pieniędzy na moje szkolenie i łapówki dla urzędników wystawiających dokumenty.

Ta funkcja tylko z daleka wydawała się nieustannym festiwalem, rzeczywistość okazała się ciężkim dniem powszednim. Stewardesa nie może być zmęczona, smutna, w nieodbornym nastroju. Kłopoty, zawody miłosne, kłótnie z kochankiem, kac, chandra, w ogóle życie osoby samotnej – zamężne kobiety są wyjątkami w tej profesji – wszystko, co nie dotyczy obowiązków zawodowych, musi zostawić przed wejściem do samolotu.

Dzień służbowy zaczynał się o czwartej rano. O tej porze w nieskazitelnym uniformie, popelinowej bluzce bez jednej zmarszczki, starannie uczesana, z dyskretnym makijażem, z doskonale utrzymanymi paznokciami i nienagannym lakierem, świeża, uśmiechnięta, pachnąca subtelnie kompozycją Chanel pięć – mogła być inna woda kwiatowa, broń Boże perfumy – stawałam w porcie przed inspektorką. Po lustracji, okazaniu dokumentów, stwierdzeniu tożsamości przypinałam do klapy otrzymany od niej znak identyfikacyjny: imię, nazwisko wytłoczone złoconymi literami w złoconym otoku na błękitnej wizytówce. Po czym mała podróż do stanowiska samolotu.

Podtaczały się meleksy, furgonetki, czasami trzeba je było wydzwaniać, czasami, gdy łączność nie działała, interweniować w gospodarczym osobiście. Odbierałam k o j b r y, jak w żargonie obsługi nazywano prowiant dostarczany z cateringu. Gromadziłam zapasy w kojcu pod tytułem kredens, pomieszczeniu ciasnym, niewygodnym i kiepsko wentylowanym, zwłaszcza w nie najnowszych typu maszynach Air Madala. Później dwanaście godzin w powietrzu minus krótkie postoje, uzupełnianie zapasów zgodnie z umowami firmy z miejscowym cateringiem. Znowu kojbry, tylko przywożone punktualnie, i znowu na pokładzie z tacą, dzbankiem, kurczakiem garni, na zimno, gorąco, wino, koniak, szynka z chrzanem, komuś zimno – pled, parówki z musztardą – zamknąć wywietrznik, sos Cumberland, duszno – otworzyć wywietrznik, tabasco, proszek przeciw chorobie powietrznej, sos tatarski, uśmiech, uśmiech, uśmiech do wszystkiego, niczym przyprawy z torebek cateringu. Posiłki dla pilotów, kawa dla pilotów, napoje dla pilotów. Spódnica jak na manekinie, bluzka nieskazitelnie gładka, nie wolno się spocić, zapłamić, nie wolno usiąść.

Na trasie za mało czasu, aby w jednym z pięciu portów wyjść bodaj na ulicę, dopiero w Londynie. Ale w Londynie marzyłam już tylko o uwolnieniu się od leciutkich czółenek na wysokiej szpilce z miękkiej jak atlas, niebieskiej giemy. Po dwunastu godzinach nieustannego chodzenia katowały stopy rozpalonym żelazem.

Hiszpański bucik, mówiły dziewczyny o tych świetnych pantoflach wyrabianych na zlecenie linii lotniczej przez włoską firmę o dużej renomie. Tak przy okazji dowiedziałam się, że hiszpański bucik stanowił narzędzie tortur stosowane przez świętą inkwizycję. Czym była święta inkwizycja, dotarło do mnie znacznie później. Biorąc poważnie niemiłe zalecenia Jasnego nie byłam skora pytać ani mówić ponad konieczność, tym bardziej że wtedy już sama krytycznie oceniałam siebie. Rozumiejąc, na ile odstaję od średniej w tym zawodzie, udawałam sfinksa.

W hotelu kładłam korekcyjne drewniaki, włókłam się do kabiny odnowy i waliłam na łóżko z nogami podpartymi zrolowanym kocem. Rano o czwartej z rąk tamtejszej inspektorki odbierałam znak identyfikacyjny i da capo. Różnica polegała na opakowaniu fabrykatów. W jedną stronę wiozłam pakiet, z powrotem k i s z k ę.

Teraz wzrastał niepokój z powodu A m f i, natrętnie przywodził na myśl instruktaz Kalifa.

– Tylko ja i Jasny możemy zmienić dyspozycję. Nikt więcej w żadnych okolicznościach.

Zegarek prześcignął samochód, samolot wystartował beze mnie. Auto zmniejszyło szybkość, skręciliśmy z szosy na boczny asfalt, nikt nie wspomniał o lekarzu, nikt się nie odezwał. Wyczulone nerwy odebrały nastrój odprężenia. Oprócz lęku o Kalifa pojawił się inny niepokój.

Nie poleciałam. Dokonała się groźna zmiana wymuszona przez nieprzewidziane wydarzenie i ludzi przysłanych przez Kalifa. Nieznanych ludzi. A przecież z intencji Kalifa, gdy wdrażał mnie w proste zresztą obowiązki, wynikało jednoznacznie i raz na zawsze: rozkład lotów nie podlega dyskusji, polecenia przyjmuję jedynie od niego, ma do nich prawo także Jasny. I nikt więcej.

Po mnie powinien przyjechać Jasny!

Dałam się zwieść, wszystko przysłoniło nieszczęście z Kalifem. Miłość jest niedobrym współnikiem w interesach, powiedział kiedyś Jasny, lepiej ufaj walucie. Waluta nigdy cię nie zawiedzie, chyba że cały Zachód trafi szlag.

Jeśli obaj są ranni? Zaczęłam zwracać uwagę na tablice z nazwami mijanych miejscowości. Nic nie mówiły, nie pomagały zorientować się w terenie.

Zapytać? Nie. Udawać dobrą wiarę. Niechaj, kimkolwiek są, zrobią pierwszy ruch. W końcu muszą odkryć zamiary. Przecież to porwanie. Podstęp i uprowadzenie. Okup? Nonsens. Nie byłam bogata. Chcieli pieniędzy od Kalifa? Prawda, żył szeroko, miał gest, ale czy miał

pieniądze? Przecież dla zdobycia środków wszystko, co posiadał, zainwestował we mnie, w łapówki dla polskiego przedstawiciela Air Madala i w A m f i. Tak mówił. Dopiero zaczęliśmy odrabiać wyłożone sumy – tak mówił. A więc tak było. Kalifowi wierzyłam bezgranicznie.

– Wysiadamy.

Wokół rósł las. Osłabłam ze strachu. Wiedziałam, opór na nic się nie zda, najwyżej rozwścieczy prześladowców. Krzyżeć? Tylko wzbudzę złość, agresję i reakcje niewspółmierne do problematycznej korzyści. Może nie byłabym taka rozważna i taka potulna, ale pojęłam: zamroczona niepokojem pozwoliłam się zwabić nie wiadomo w jaką zasadzkę. Obezwładniało uczucie, że cała moja szaleńcza obawa, cała serdeczna troska okazały się daremne. Zamiast wesprzeć, mogłam zaszkodzić. Zyskałam już prawie pewność przyczyny sytuacji, w jakiej się znalazłam. Stawką było A m f i. Ale właśnie w związku z A m f i na końcu tej drogi mógł oczekiwać Kalif ranny, potrzebujący pomocy, uwięziony przez cyngli w marmurkowym dżinsie. Może nawet sam kazał mnie tutaj sprowadzić.

Na końcu drogi nie zastałam Kalifa, tylko porośnięte lasem wzniesienie i zasnuwane jeżynami krzepkie drzewa. Zaparłam się jak rzeźne zwierzę czujące niebezpieczeństwo. Nie zdążyłam wydać głosu, zamoczyło uderzenie w twarz i wnieśli mnie za furkę wiodącą w głąb pagórka.

Otrzeźwiałam w komorze z betonowych płyt stroszących spod poczerńiałej zaprawy pręty zbrojenia. Podłoga, raczej tok ze zwiertzałego cementu z prawie białymi pędami jakichś roślin w pęknięciach, leżał poniżej wejścia, poziom wyrównywały podobnie skruszałe, chwiejne stopnie. Zanim oswoiłam półmrok – w stropie musiała być szczelina, stamtąd sączyła się skąpa jasność i wyraźny prąd powietrza – szofer rozstawił, widocznie zabrane z pojazdu, dwa turystyczne krzesła i leżak.

– Siadaj – wciąż jeszcze miałam męt w głowie, pulsowała opuchła i rozcięta o zęby wargi, opadłam na pasiaste płótno opinające stelaż z aluminiowych rur.

– Jeśli zachowasz się rozsądnie, nic ci się nie stanie. – Starszy rzucił mi na kolana pled z auta. Dygotałam ze zdenerwowania i chłodu wionącego od żelbetowych konstrukcji lochu. Zdziwił niespodziewanie przyjazny gest.

– Kawy? – kierowca odkręcił termos. Zapachniało. – I są kanapki, z szynką!

W tamtym czasie szlachetne wędliny były trudno dostępnym artykułem, stąd podkreślenie. Pewno bym się roześmiała, gdyby nie nastrój kłęski zawinionej własną łatwowienością.

– Dziękuję – niczego nie mogłabym przełknąć, może poza paroma łykami gorącego naparu, lecz przyjęcie zaproszenia wydawało się zdradą wobec Kalifa.

– Nie bój się, niczym nie podprawiona – szofer otworzył radio, odezwała się jakaś muzyka. Japoński odbiornik wielkości pudełka od papierosów szemrał cicho. Starszy umieścił pod ręką bezprzewodowy telefon, rozsiedli się, zaczęli jeść.

– Co się stało z Kalifem, gdzie jest?

– Pewno fryga śniadanie w Victorii albo puszcza w obieg kolejną idiotkę, albo śpi po nocy z początkującą idiotką. Nie wiemy. U nas go nie ma.

– Mówiliście...

– Mówiliśmy. Nie mogłem cię z miejsca zaprawić po lokach i załadować pod lotniskiem, chociaż i na taki zabieg byliśmy przygotowani.

– Czego ode mnie chcecie?

– Tego, czego chcemy, pewno byś się wzbraniała – roześmiał się szofer z ustami wypchanymi bułką z szynką.

– Zamknij jamochłon – zmarszczył się starszy. – Nie bój się, mała, nic ci się nie przydarzy, posiedzisz trochę, potem cię wypuścimy, a może nawet podwieziemy bliżej Warszawy.

– Gdzie jesteśmy?

– Nieważne.

– Ale o co chodzi?

– Co za różnica, skoro i tak na nic nie masz wpływu. I nigdy nie miałas.

– Dlaczego mnie trzymacie, właśnie mnie?

– Tacy jedni, malkontenci, likwidują kanał.

– Nie rozumiem.

– To samo co szlak albo droga. Byłaś ogniwem na tej drodze. I powiem zupełnie prywatnie: gdy już stąd wyjdiesz, nigdy więcej nie baw się w podobne rzeczy, inaczej możesz nie dożyć sędziwego wieku. Jesteś naiwna, twój n a r z e c z o n y wcale o ciebie nie dba, skoro wpasował cię w takie zajęcie. W każdym razie ja swojej dziewczynie nigdy bym nie pozwolił. Wiesz, co woziłaś?

– Rzadki składnik do preparatu przeciw rakowi w stadium prób. Z pominięciem komory celnej, ponieważ laboratorium jest biedne. Niemoralne jest branie opłat wwozowych od surowca mającego wpływ na powstanie leku ratującego życie i nie mam sobie nic do zarzucenia – wyrecytowałam słowo w słowo, czego na najgorszy z możliwych przypadków nauczył mnie Jasny. Tylko miałam zgryz, czy najgorszy z możliwych właśnie się wydarzył, bałam się bólu, zniekształcenia twarzy, porzucenia w lochu.

– Jezu! Nie wytrzymam. Sama wymyśliłaś? – śmiał się jak szalony szofer.

– Mógłbym nawet zaraz zaaplikować ci ten uzdrowicielski środek, ale nie chcę złamać życia. Jesteś jeszcze bardzo młoda – powiedział starszy.

– Beznadziejnie głupia czy ma nas za niedorozwiniętych? – zastanawiał się szofer.

Popatrzyli na siebie. Pytanie zostało bez odpowiedzi.

– Ile ci Kalif płacił?

– Przecież dostaję pensję w liniach lotniczych.

– Nic ci nie dawał? Wszystko z miłości!

Milczałam. Nie było siły zdolnej zmusić mnie do wystawiania uczuć na ich drwinę. Miłość, oddanie, wdzięczność za świetny los osiągnięty dzięki Kalifowi, uniesienia i związki nieprzeliczone na żadne pieniądze.

– Alfons. Powinien pilnować swojego rzemiosła. W przeciwnym razie...

– ... samolot linii lotniczych Madala lecący z Warszawy przez... przymusowe lądowanie... – zaszemrało radio. Starszy wzmościł odbiór – ... pod Poznaniem z osiemdziesięcioma pasażerami na pokładzie... nagle niedyspozycja pilota, podobne objawy stwierdzono u większości pasażerów... – znowu rozległa się muzyka. Starszy ściszył odbiornik. Wymienili między sobą spojrzenia. Wydawali się zdezorientowani.

– Ale krzywo poszło – mruknął szofer.

– Po herbacie. Nie dotarli na Tempelhof. Alfons ma szczęście. Co tym razem miało być, kodeina, benzylmenthyl-keton? – nachylił się nade mną starszy. Wyraźnie wiadomość bardzo ich poruszyła.

– Nie wiem – nie znałam nazw przez niego wymienionych, chociaż domyśliłam się, dotyczyły k i s z e k.

– Daj spokój, dla n a r z e c z o n e j za inteligentne – skrzywił się szofer. Słowo narzeczona zabrzmiało jak obelga.

– Słuchaj, mała, w czym wiozłaś A m f i? – starszy sprawiał wrażenie, jakby odgadł coś bardzo istotnego, ale w ogóle stracili impet, pomarkotnieli zawiedzeni i rozczarowani. Milczałam.

Odezwało się Ci-bi.

– Tak... zrozumiałem. Over.

– Zbieraj się, podwieziemy bliżej cywilizacji. Później musisz sobie sama radzić.

– Nie mam polskich pieniędzy. Przed rejssem zostawiłam je u inspektorki przy odbieraniu znaku identyfikacyjnego.

– No nie, jeszcze mam cię wspierać finansowo!
– Wymień dole. Mam dychę.
– Beznadziejna! Znalazła sobie cinkciarza. Mogę ci odebrać, wiesz?
– Wiem.
– No dobra, wczoraj chodziły po siedem, dzisiejszego kursu nie znam – starszy wymienił mój banknot, wówczas stanowił poważną sumę. – Jesteś spalona, rozumiesz swoją sytuację?
– Co się tak nagle troszczysz?
– Bardzo możliwe, szuka cię już Glinówek w związku z przymusowym lądowaniem samolotu.

Odkąd znalazłam się we wnętrzu pagórka, pojęłam, ich szef, czy z kim się tam porozumiewali, nie zatelefonował pod numer dany mi przez Kalifa na nieprzewidziane okoliczności. Im przede wszystkim zależało, żeby A m f i pozbawić dozoru, ale lądowania pod Poznaniem nie przewidzieli.

– Nie idź na Zarankiewicza ani do hotelu w porcie, ani tam, gdzie jesteś na stałe zameldowana, jeśli nie chcesz wsiąknąć i wsypać n a r z e c z o n e g o – znowu szczególna intonacja nadająca słowu narzeczony brzmienie wyzwiska.

Dokąd uciekać? W jednej chwili runął dach nad głową, przemieniłam się w łowną zwierzynę. Nie wiedziałam, gdzie szukać Kalifa, jak skomunikować się z Jasnym i czy już wiedzą o moim nieszczęściu. Pamiętałam tylko numer awaryjny dany n a w s z e l k i w y p a d e k, lecz zdradziłam go obwiesiom, co z tego, że w najlepszej wierze.

– Posłuchaj. Idź do Haiti na Pigalaku. On tam puszcza w obieg dziewczyny za mało dobre na pierwszą lokatę. Tańszy dupiznes obsadził kuzynami. Powiesz pierwszemu z brzegu alfonsowi, żeby skomunikował cię z Kalifem albo z polskim kuzynem. I nie zapomnij przekazać naszego przesłania, niechaj zajmuje się swoją działką i nie wychyla poza przerabianie narzeczonych na dziwki.

– Nie wierzę wam.

– Dla mnie możesz nawet iść na Glinowo, dać głowę pod topór, umoczyć Kalifa. My w każdym razie nie podamy was Emolom ma półmisku. Jeśli jednak nie zaprzestaniecie procederu, następnym razem będziemy bardzo nieprzyjemni – powiedział wszystko jednym ciągiem, bez szczególnego nacisku.

– W tym przebraniu ona jest bardzo znaczna, nie uważasz? – szofer skubnął złoty galon emblematu na moim rękawie.

2.

– Dobry Boże, dziewczyno, szukam takiej twarzy, sylwetki!

W biały dzień pod Victorią zaczepił Anielkę cudzoziemiec zagapiony w nią jakby trochę nieprzytomnie, ściągnął z ramienia kamerę, przytknął oko, gdzie trzeba, ćwierknęła przesłona, gość puścił aparat, chwycił rękę Anielki.

– Jestem Hanig. Fotografik. Firma Lothar Lunze.

Anielka, poza Herr Gott, niewiele pojęła ale domyśliła się, że jest wielbiona po niemiecku. Bądź co bądź przez ostatnie kilka lat, jeśli nie mogła się urwać, odsiadywała w szkole lekcje tego języka. Z garści oswojonych słów, zachowania cudzoziemca, barwy jego głosu i jakby olśnienia jej widokiem zrozumiała, że jest nią zachwycony.

Spódnica – błysnęło Anielce. Wyłaniające się jedna z drugiej faliste smugi w dziewięciu odcieniach malachitowej zieleni. Cudo. Bardzo szeroka, przymarszczona, dołem podobna do korony fantastycznego kwiatu. W ruchu szeleściła, rozkołysana w rytm kroków odślaniała rąbek halki utrzymanej w podobnej palecie, obrębionej ręczną koronką dobraną

kolorem i tylko nieco jaśniejszą od tła spódnicy. Tę samą barwę miała góra, podobnie jak wykończenie spodu, udziergana przez Babkę. Anielka zdeptała miasto, zanim znalazła przędzę o odpowiednim walorze. Babka mimo utrudzenia domowym kieratem wyczarowała bluzkę dopełniającą niezwykłą całość. Ten strój widać. Nawet Dobra pani zauważyła.

Dobra pani miała ubiorów więcej niż potrzebowała na najbliższe pięćdziesiąt lat, a wszystko gatunek i szyk, nie jakaś podszewka tłamszona w szafliku, żeby udawała gniececiucha czy lakierki, pożał się Boże, z plastyku twardego niczym czołgowa stal.

– Za młoda jesteś na jedwabie – Dobra pani jednym rzutem oka wyceniła nowe odzienie Anielki. Wyglądała na niemile zaskoczona, jakby ją osobiście znieważał muślin na dziewczynie wynajmowanej do sprzątania, właściwie z litości.

W owej chwili Dobra pani była przekonana, że tylko dzięki czułemu sercu, raz w tygodniu daje zarobić uczennicy, a ta, proszę, wydziera jej tysiąc złotych za godzinę, aby się stroić w jedwabie. Pewno, ma za co! Nawet na mydło nie wyda. Każdej soboty, po porządkach, kąpie się i upiększa w łazience przeznaczony dla gości w domu Dobrej pani, na koszt Dobrej pani, nie żałując sobie szamponów ani kąpielowych płynów z dolarowych sklepów, malując paznokcie u rąk i nóg zagranicznym lakierem Dobrej pani, na koniec wyjada wszystko, co się przed nią postawi, jakby w brzuchu miała komorę zsypaną, a nie zwyczajny żołądek. Potwór.

– Materiał okazyjny. Poza gatunkiem. Ma skazy – łagodziła Anielka ból Dobrej pani.

– Bluzka też z naturalnych nici – Dobra pani miętosiła w rękę dzianinę zdjętą przez Anielkę.

– Mhy – Anielka wyjęła z jej dłoni wieczory swojej Babki zatrzymane w ściągach z przędzy kokonów, strzepnęła pajęczą materię i ułożyła na krześle, gdzie już rozpostarła własne robrony. Zapinała roboczy fartuch.

Babka przestrzegła, nie kładź najlepszej sukienki, nie kłuj w oczy ludzi, od których jesteś zależna. Anielka nie mogła nie ubrać się w tak długo wyczekiwany strój, skoro Babka nareszcie skończyła nizać ostatnie sploty szydełkowej bluzki.

– I nie nosi się jedwabiu rano!

– Babka mówiła to samo – przyznała Anielka. Miała niewyczerpaną cierpliwość dla całego świata z powodu wspaniałej kreacji, która wycisnęła gorycz nawet z Dobrej pani.

Babka oceniła podobnie, jednak nie tak samo. Przymierzała nową spódnicę Anielki, jak wiele innych rzeczy, do przedwojennej Kolonii. Nie dorosła jeszcze pełnych czternastu lat, kiedy przyjęto ją na pokojówkę w eleganckim domu. Stamtąd, chociaż minęło pół wieku, pamięta, jak się wytwornie śmiać, żeby nie pokazywać plomb, z której strony gościa trzymać półmisek podając potrawę, jak nakrywać stół, jakie kieliszki do czego, na jaką porę dnia co się nosi. Jednak oprócz znajomości najlepszego bon tonu z przedwojennej Kolonii Babka od zawsze żyła w dzielnicy, nawet kiedy ta była jeszcze ubogą wsią na peryferiach miasta, i rozumiała, że jak człowiek spotęży się na lepszą sukienkę, to jej nie rozmnoży na różne ubiory. A poza tym, kto teraz na takie szczegóły zwraca uwagę, chyba jedynie ci, co jak Dobra pani dopiero się dorobili i tylko patrzą, czym jeszcze odróżnić się od gorzej ustawionych w życiu.

Ulica nie dba o subtelności, ulica nosi wszystko do wszystkiego i Anielka do muślinu kupiła m e b l e. Na lepsze obuwie już nie miała pieniędzy. I tak zapłaciła dużo za dwa paski ciemnozielonej skóry podtrzymujące spody na obcasie z lakierowanego drewna. Nie stać jej było nawet na plastikową tandetę, która rozprzestrzeniała się jak nowotwór.

– Dziesięć lat w takich pantoflach i masz nogi staruchy. Zwróć uwagę, jakie platfusy wyhodowały już niektóre dziewczyny z naszej klasy. To od plastikowych dybów, od szmaciaków. Drewniaki są przynajmniej zdrowe, korekcyjne i estetyczne – pochwaliła nabytek Wiśka.

Dla Anielki dziesięć lat stanowiło niezmierny obszar czasu, nawet nie umiała siebie wyobrazić w tak odległej przyszłości, ale cieszyło dobre zdanie Wiśki o zakupie. W dziedzinie mody Wiśka była najwyższym autorytetem w całym liceum.

Nosiła obuwie robione ręcznie z miękkich skór, z gadów, plecionek, na futrówkach naturalnych, podszwach ze skóry cienkiej, sandały na korku, mokasyny na krepie, zamawiane w jednej z najlepszych firm w Warszawie. Czekają tam na Wiśkę kopyta wykonane według odlewów jej stóp. Przy każdym zamówieniu robią świeżą matrycę i porównują. Jeśli stwierdzą jakieś odkształcenie modelu, nanoszą korekty na drewniane formy. Wiśka ma zdrowe, piękne nogi, płynny gips nie ujawniał najmniejszej deformacji.

– O elegancji decyduje obuwie i fryzura, co jest w środku, mniej ważne – mówiła Wiśka zakładając płaszcz ze srebrnych lisów.

Lustro odbijało włosy zebrane w węzeł, kielkujące drobnymi kędziorami na gładko uczesanej głowie stwarzały wrażenie złocistej aureoli. Wiśka nigdy nie przychodziła do szkoły w futrze. Do szkoły nosi się w stambulskim dżinsie, bawełnianych bluzkach, kurtce na baranku, nie wyróżnia się spośród innych. Zmienia skórę wieczorem albo w wolne dni. Razem z tureckim bławatem i tajlandzką dzianiną odkłada Wiśkę i przemienia w tajemniczą Kamę.

Anielki nie stać na fryzjera ani na futro, nie stać na kapotę podbitą jagniętami ani na markowe pantofle, ani na sposób, w jaki zarabia Wiśka. Zaplata włosy w harcap lub przewiązuje u nasady, ale odkąd Wiśka zaprowadziła się u znakomitego szewca, Anielka zaczęła dbać o odnóża. Uprawia gimnastykę, szoruje i namaszcza pięty, po mieszkaniu chodzi bosą, przysięgła sobie nigdy nie nosić szmaciaków ani tandety. Z dwojga złego lepiej państwowe z przeciwplafusową wkładką, ale państwowe to już także tylko płótno, syntetyczne spody i równie lichy plastik, niechlujna robota, odrzuty z odrzutów, szmelc jakby pozbierany ze śmietnika. Kto zauważy kształtne, zadbane stopy Anielki zakute w chodaki jak ze złego snu znerwicowanego ortopedy.

Anielka kończy sprzątanie.

Dobra pani przeżywa chwilę rozterki. Chciała zabrać z łazienki dla gości kąpielową kosmetykę francuskiej firmy, lecz nie miała nic gorszego na podorędziu. Dobra pani nawet w konsoli pod lustrem nie trzymała ostatnich gatunków, jeszcze by kto ze znajomych zajrzał i pomyślał, że na pokaz wystawa, a w szafce byle co. Postanowiła kupić coś krajowego, przechowywać gdzie indziej i wykładać tylko w soboty przed przyjściem tego potwora.

– Można wziąć emalię? – wypławiona w wonnych pianach Anielka, owinięta puchatym ręcznikiem, dogoniła Dobrą panią w hallu przy wyjściu.

– Weź – dźwięczy kluczykami od samochodu Dobra pani. Nastrój jej się poprawił. Dziewczyna skandalicznie gospodarzy zarobionymi pieniędzmi, jednak pracuje porządnie, nie trzeba jej pilnować i nie trzeba płacić ubezpieczenia. Wprawdzie dużo je, lecz niczego nie podkrada, nie sprowadza pod nieobecność gospodarzy mężczyzn ani koleżanek, nic z horrorów opowiadanych przez inne Dobre panie o swoich służących, które przyodziane w peniuary Dobrych pań, na pościeli Dobrych pań tarzają się z przygodnymi panami i biorą za to pieniądze, a do sprzątania podnajmują inne osoby, też Bóg raczy wiedzieć, co za jedne. Idealem Dobrych pań jest krzepka emerytka w wieku kanonicznym, samotna, bez nałogów i bez wnuków. Tylko gdzie taką znaleźć.

Anielka w garderobie Dobrej pani nie może się zdecydować obezwładniona mnogością wyboru i znowu wszystkie dwadzieścia paznokci maluje jasnym lakierem. Praktyczny, nie widać, gdy odpryskuje w ciągu mijającego tygodnia i nie pogryzie się z barwą nowego stroju.

W kuchni na stole inaczej niż zwykle. Nie ma półmiska z zimnym mięsem, brakuje maselnicy. Na samotnym talerzu kilka płatków krakowskiej, plasterki tyłzyckiego, rozeta masła z foremki, kleks marmolady. Jedynie koszyk z pieczywem nie zmienił objętości.

Anielka nie odczuwa żalu do Dobrej pani. Wiadomo, drożyzna. Dzisiejszy pieniądz nie jest pieniądzem wczorajszym, ceny skaczą jak pchły po bezdomnym kocie. Przez myśl jej nie przejdzie łączyć ograniczenia ze swoją nową spódnicą.

– Dopóki jest chleb, nie ma głodu – mawia Babka.

Anielka oszczędnie smaruje i obkłada kromki. Przy nakryciu leży pięć banknotów po tysiąc złotych, równowartość pięciu godzin pracy, chowa pieniądze i zabiera się do jedzenia.

Wytworna Anielka obnosi jedwabie po Trakcie Królewskim, łowiąc odbicie w wystawach Nowego Światu.

Wszystkie po kolei potwierdzały piękno stroju jednocześnie przypominając o różnych rzeczach, których się nie ma. Dziwiło, w sklepach pusto albo ostatni szmelc, a tyle można by jeszcze kupić. Lepiej bez pieniędzy, wtedy nawet pokusy znikają i sklepy nie obchodzą.

Krygowała się jak idiotka do witryn Nowego Światu, lecz niczego nie udawało się zapomnieć. Wypłatę od Dobrej pani odejmuje od ust rodzinie. Taka jest prawda. Nie żadna przenośnia. Ich garnek jest chudszy o sobotni zarobek Anielki, tylko skąd mogła wiedzieć, że w dwa miesiące po zaciągnięciu pożyczki bochenek chleba zdrożeje dziesięciokrotnie. Teraz powinna kupić lepszego jedzenia dla nich, w domu. Kawalek pasztetowej dla Teka, jabłek dla Babki. Czula się winna, mimo niespokojnego sumienia cieszyła przyczyna rozterki, zielona spódnica.

Odwraca oczy od lakiereków za szybą, chociaż akurat na tę parę mogłaby bezpiecznie patrzeć. Posiadana suma nie starczyłaby nawet na jeden obcas od tych pantofli.

Pieniądze należały do Wiśki. Kolejna rata. Ona wyłożyła na wietnamski jedwab, kiedy natknęły się na niego w Domach Centrum. Wiśka szukała coś ekstra i pociągnęła ze sobą koleżankę. Akurat Anielkę nie interesowały sklepy. Nie miała pieniędzy. Nic nowego, jej portfel przeważnie cierpiał na uwiąd. Towarzyszyła Wiśce z czystej przyjaźni, może tylko trochę z ciekawości.

– Mora?! Nie ma i nie bywa. Jest chińska przecena – powiedziała ekspedientka i popatrzyła na dziewczyny ponuro. Kto tym smarkatym tak poprzewracał w głowie?

Chińska przecena okazała się wietnamskim odrzutem poza gatunkiem, Wiśka orzekła, że plamy wzdłuż zakończenia brytu dadzą się sprać. Jeśli nie ustąpią, odetnie się je w krojeniu i na wszelki wypadek kazała zmierzyć o metr więcej. Anielka powinna mieć chociaż jedną przyzwoitą sukienkę. Należność odda po trochu.

Plamy puściły, Babka wie, jak się obchodzić z naturalnym jedwabiem, i potrafi szyć. Anielka przez wiele sobót przynosiła Wiśce część długu, chociaż mogłaby w poniedziałek, w poniedziałek znowu siadały w ławce obok siebie, wolała jednak zaraz po wypłacie oddać pieniądze, jeszcze by, nie daj Boże, podkusiło albo wybuchła domowa potrzeba.

Poza tym przyjemnie pobyć w eleganckim wnętrzu, obejrzeć wystawę dolarowego kiosku z bursztynami i srebrem, usiąść w hallu na miękkim fotelu i wyobrażać, że czeka na zakochanego chłopca albo na rezerwację, oczywiście apartamentu, albo na znajomego cudzoziemca z Rzymu lub Wiednia, Toronto lub Sydney z przesiadką w Bangkoku.

Nadchodziła Wiśka, zapraszała na kawę. Anielka raz tylko uległa pokusie mokki w Victorii. Za dwa naparstki Wiśka zapłaciła majątek. Anielki nie stać na rewanże, chociaż Wiśka ich nie oczekuje, nie może tylko korzystać, ma swoją dumę, wymawia się pracą w domu.

Wiśka nie nalega, rozumie szczególną drażliwość Anielki. Znając jej upodobania do salonów recepcyjnych gwiazdkowych hoteli na wszelki wypadek przestrzegała przed zawieraniem znajomości. I teraz Anielka, oko w oko z urzeczonym cudzoziemcem, trzeźwieje. Przychodzą na myśl przestrogi Wiśki. Pewno, miałby się czym zachwycić. Wielkie mecyje, spódnica. Wprawdzie przy zieleniach oczy Anielki robią się jeszcze zieleńsze i bardziej je widać. Owszem, oczy ma na swoim miejscu, ale reszta nic nadzwyczajnego, chociaż mogło być gorzej. Zawsze może być gorzej czy z urodą, czy w

życiu. To Anielka wie, odkąd zaczęła rozumieć. W każdym razie nie ma szans na królową piękności, żeby facet nie wiem jak terkotał kamerą. Zresztą wcale nie jest pewne, czy ma tam film, ograny sposób na naiwne.

– Spadaj, koleś.

Kupi sobie taki modne mokasyny, nałoży białe skarpetki, wdzije spodnie z żaglowego płótna made in Rembertów, uwiesi kamerę na brzuchu i zadaje szyku przed gwiazdkowym hotelem, a kiedy złowi c i e l ę c i n ę, zanim wypije szklankę coli, wyczerpie zasób obcych słów, wtedy zawiadomi, że rodak. Robił test albo żeby było śmiesznie, albo coś jeszcze innego i dla odmiany wejdzie w skórę biznesmena. W małym palcu ma rynki od Lizbony po Hongkong, a tak naprawdę w najbliższą sobotę na berlińskim targowisku znowu rozłoży parę głów tyłzyckiego, kilka kostek masła, z pół tuzina bawełnianych kałesonów.

– Źle trafiłeś. Przestałam się puszczać, kiedy byłam w drugiej klasie. A manów mam w bród.

Anielka dostrzega nadchodzącą Wiśkę. Macha do niej ręką. Wiśka także ją widzi, unosi dłoń i przystaje na światłach dzielących skwer przed Zachętą od chodnika przy Victorii. Cudzoziemiec zauważył wymianę pozdrowień, ale nie odchodzi.

– Co ten tutaj robi? – Wiśka nieznacznym skinieniem głowy wita oboje.

– Chce mnie wykierować na modelkę.

Cudzoziemiec ożywia się, potwierdza znane słowo i trochę po niemiecku, trochę po polsku obiecuje dużo pięknych fotografii, dużo dobrych niemieckich pieniędzy i sławę. Zaprasza do hotelowej kawiarni.

– Idziemy – zgadza się Wiśka. Zna się na cudzoziemcach. Ten z pewnością nie jest p i ą t k o w y m. Wiśka nie zadaje się z piątkowymi, w ogóle nie zawiera znajomości w lokalach i odradziłaby takie znajomości Anielce.

Piątkowi turyści przyjeżdżają na weekendy. Skandynawowie, gastarbeiterzy z Republiki Federalnej i przeważnie nie są to najszybsi chłopcy. Ściągają ich pod koniec tygodnia najtańsze alkohole, najtańsze lokale, najtańsze dziewczyny w całej Europie. Mężczyźni, których nigdzie indziej nie stać na markowe hotele, którzy w swojej ojczyźnie czy kraju zamieszkania nigdy nie przekroczyli progu z portierem w galonach, tu za cenę dniówki mogą kupić wszystko, co u siebie widują wyłącznie w kinie. Za cenę dniówki przekraczają ekran, wchodzi w film trójwymiarowy i materialny z sobą w roli głównej. Na dzień i dwie noce przestają być drwalami, subiektami, sprzątaczkami ulic, służącymi w domach zniedołężniałej starości, przemieniają w selfmade manów. Za kilkanaście dolarów wypełniają się alkoholem aż do pięt, za kilkanaście dolarów kupują dziewczynę na całą noc, za kilkanaście dolarów zapewniają sobie pobłażanie i względy obsługi. Niedzielnym rankiem odlatują czarterami, uwożą kaca i podbudowane ego. Wracają za tydzień, znów w światłach barów odmienieni w ludzi sukcesu, wspaniałych mężczyzn, szczęśliwych kochanków.

– A jeśli to Stróż? – odpowiada Anielka.

Piątkowi obcokrajowcy budzą zawiść. Zawiść rodzi Stróżów narodowej czystości obyczajów. Stróże poddają próbie lojalność rodaczek udając cudzoziemców. Biada, jeśli dziewczyna ulegnie i pozwoli się gdzieś zaprosić, dokąd i tak nigdy nie dotrze. W odludnym miejscu odprawia nad nią sąd, a zanim pobiją, ograbią, zdarza się zgwałcą, wygłoszą sentencję w rodzaju: przywoita Polka puszcza się tylko z Polakami, Wanda leży w polskiej ziemi, bo z e c h c i a ł a Niemca.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI